Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem
Rok II — Lwów, 1-15 lipca 1935 — Nr. 19—20 (40)

AKCJA NARODOWA

Czasopismo polityczne, społeczne i kulturalne
Wychodzi 1-go, 10-go i 20-go dnia miesiąca

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Lwów, Ormiańska 8. Tel. 253-10. REDAKTOR NACZ. przyjmuje codziennie od 18—19. ADMINISTRACJA CZYNNA w poniedz., środy i soboty od 17—18.

Cena egzempl. 20 gr. — Konto PKO 504.250

Prenumerata: miesięczna 0·50 zł. Kwartalna 1·50 zł. — półroczna 3 zł. roczna 6 zł.

KLAUDJUSZ HRABYK

Bojkot wyborów

Wbrew wszelkim proroctwom, zapowiedziom i przeróżnym pogłoskom — wybory do Sejmu i Senatu, po rozwiązaniu starych ciał ustawodawczych, zostały już rozpisane i odbędą się w pierwszej połowie września br. Znajdujemy się właśnie w toku przygotowawczej akcji wyborczej. Kampanja wyborcza odbędzie się w okresie kilkunastu zaledwie dni, tak jak być zresztą powinno, gdyż niema żadnego celu, aby ludność doprowadzana została do białej gorączki przez setki agitatorów i trzymana w tem napięciu przez całe tygodnie. Kto nie wyrobił sobie należytego zdania o sytuacji w ciągu pięciu lat, ten powinien wogóle odsunąć się od udziału w życiu politycznem, a w każdym razie byłoby najgorzej, gdyby mu sąd o jego zdaniu miał narzucić w ostatniej chwili agitator polityczny. Wybory nie powinny absolutnie wytrącać kraju z równowagi. Jest to bowiem jeden z licznych aktów natury państwowej, jaki obywatel spełnia w swem życiu. Dlaczegóż więc akuratnie akt głosowania miałby być poprzedzony wyjątkowym hałasem i agitacją? Uważamy to za zupełnie zbyteczne.

Opozycja ogłosiła bojkot wyborów. Centrale partyjne uchwaliły nie brać udziału w wyborach i rozwijają ponoć agitację w tym kierunku, aby ludność poparła tę decyzję. Zaprawdę — dobrze się dzieje w kraju, w którym tak straszliwie terroryzowana opozycja zmuszona jest aż bojkotować wybory, a równocześnie — swobodnie, w prasie i na zebraniach za tem agitować. Trudno sobie wyobrazić taką agitację w krajach, które — jak Polska — weszły na drogę nowego ustroju. I tu właśnie wychodzi na jaw całe zakłamanie argumentacji opozycyjnej, jakoby się jakiś gwałt na niej dokonywał. Skoro bowiem uchwała i agituje za bojkotem — to gdzież tu cień jakiegokolwiek ucisku i represji?

Ale nie o to nam chodzi. Wolno było opozycji zrobić ostatnio szereg głupstw, wolno jej zrobić jeszcze jedno.

Bo bojkot wyborów uważamy za *wielkie głupstwo*, którego opozycja będzie niebawem szczerze żałowała. Cóż to bowiem znaczy bojkot wyborów?

Czy wybory może się nie odbędą? Czy nie zbierze się Sejm i Senat? Czy podważone zostaną prawne podstawy wyborów? Czy tzw. moralna siła wybranego Sejmu i Senatu będzie mniejsza? Czy wreszcie pociągnie bojkot jakiekolwiek skutki polityczne w państwie?

Nic podobnego. *Wszystko pójdzie swoim normalnym torem. Przedewszystkiem żadnego bojkotu nie będzie.* Powiedzmy, że wstrzyma się nawet jakaś część mających prawo głosowania od udziału w wyborach. No to i cóż z tego? Czy kiedykolwiek w Polsce głosowało 100% uprawnionych? Nigdy. Wskutek niewielkiego uświadomienia politycznego mas — udział w wyborach sejmowych przedstawiał się w ten sposób: w r. 1922 — zaledwie 67·9%, w r. 1928 — tylko 78·3% i w r. 1930 — 74·8%. W wyborach do Senatu zainteresowanie zawsze było jeszcze mniejsze: w r. 1922 — 61·5%, w r. 1928 — 63·9%, w r. 1930 — 63·4%.

Przyjmijmy nawet, że tym razem stosunek ten nieco się pomniejszy. Czy z tego coś poważnego wyniknie? Trzeba być bardzo naiwnym, aby budować na tem jakiekolwiek nadzieje.

Twierdzimy, jednak, że udział głosujących w zbliżających się wyborach nie ulegnie żadnej *zasadniczej* zmianie w porównaniu z ub. wyborami.

Opozycja niema bowiem odpowiedniej organizacji, aby porządnie zorganizować bojkot. I tu właśnie tkwi jeszcze jeden dowód kłamstwa politycznego na temat sytuacji w kraju.

Bojkot miałby jakie takie znaczenie, gdyby ludność — bez podszeptów i agitacji — wstrzymywała się od udziału w wyborach. Jeżeli jednak rzecz wymaga aż organizacji — to oczywiście jest *sztuczna*. Nikt bowiem nie oburza się i nie protestuje szczerze, kogo trzeba dopiero do tego nawoływać. Ponieważ jednak opozycji nie stać nawet na zorganizowanie sztucznego oburzenia, zatem możemy wszyscy spać spokojnie. *Bojkot odbędzie się na papierze.*

Będzie jednak jeden jedyny jego skutek: oto w rezultacie bojkotu, nie będą ubiegali się o mandaty dotychczasowi przewódcy i agitatorzy partyjni. Nie ubiegając się o nie — nie wejdą do Sejmu. I będą *nieobecni* w życiu politycznem Polski.

Nieobecni zaś *niemają nigdy racji i — przegrywają.* Prawda tej starej, wypróbowanej zasady życiowej nie zmieni się tym razem. Nieobecność dzisiejszej i dotychczasowej opozycji w życiu Polski, wyjdzie Polsce na zdrowie. Będzie to konkretna, pozytywna korzyść.

Dla interesów partyj opozycyjnych będzie to jednak niepowetowana strata. Nie będziemy tu rozpatrywali poszczególnych pozycyj tej straty, bo ta nas mało wogóle obchodzi. Nie możemy tylko wyjść z podziwu, dlaczego niektóre partje uchyliły się od udziału w wyborach, skoro — mimo wszystko — mają szanse uzyskania pewnej ilości mandatów. Wymaga to coprawda teraz niemało pracy i organizacji, ale też wybieranie posłów przestanie być humorystyczną komedją malowaną na tle pseudodemokratycznej woli wyborców, którzy — jak ślepe owce — szli głosować na ludzi narzucanych im przez *tajne mafje* partyjne. Jeśli bowiem zarzuca się obecnemu systemowi, że listy kandydatów również układane będą przez zgromadzenia wyborcze, to — przyznać musimy — że jest to sposób conajmniej doskonalszy, gdyż układanie list odbywać się będzie *w świetle dziennem*, przez ciała *publicznie* przynajmniej znane. Kto zaś niema nawet do nich zaufania, ma możność wysłania tam swoich delegatów i prawo decydowania. Właśnie tego ostatniego wysiłku obawiają się *fatyganci partyjni* i z tego powodu obrazili się na wybory.

Tymczasem udział w wyborach jest *prostym* i nieulegającym żadnej dyskusji obowiązkiem *obywatelskim* i *państwowym*. Nieobecność obywatela w wyborach świadczy o braku z jego strony zainteresowania życiem państwowem. Logiczną konsekwencją winien być — naszem zdaniem — *brak zainteresowania państwa wobec takiego typu obywatela*. Niema bowiem powodu, aby państwo okazywało więcej życzliwości dla obywatela, niż obywatel dla państwa. Obowiązuje nas inna zasada, wręcz przeciwna.

I o tem panowie bojkotowcy, tak pochopnie ogłaszający z trybun sejmowych i prasy bojkot obowiązku obywatelskiego i państwowego — winni pamiętać *i niczemu się w przyszłości nie dziwić.*

* * *

Parę słów musimy poświęcić temu odcinkowi naszej niefortunnej opozycji, który zalicza się do kierunku narodowego. Stronnictwo Narodowe wspólnie z P. P. S. i ludowcami proklamowało również bojkot, aczkolwiek już zostały pod tym względem poczynione w jego szeregach poważne wyłomy. Sądzimy, że wogóle najmniej nieszczęścia grozi z tej strony.

Ale czy proklamowanie bojkotu wyborów przez Str. Narodowe ma cokolwiek wspólnego z zasadniczą linją kierunku narodowego, skoro udział w wyborach zapowiadają Żydzi i Ukraińcy? Czy uchylanie się w tej sytuacji społeczeństwa polskiego nie byłoby nietylko głupstwem, ale zwyczajną *zbrodnią* wobec interesów Narodu i Państwa? Czy Polska ma przestać być państwem polskiem jeżeli posiada — przyjmijmy nawet — że złą i błędną ordynacją wyborczą? I czy wolno wtedy usuwać się od udziału w życiu państwowem i *bojkotować* państwo i jego instytucje? Jesteśmy bardzo wyrozumiali dla głupoty przewódców Stronnictwa Narodowego, ale ich stanowisko w sprawie wyborów uznać musimy za karygodne *szaleństwo*, nie mające żadnego usprawiedliwienia.

I dlatego wiemy, że zdrowy instynkt zwolenników tej grupy nie pozwoli na zrealizowanie tego rodzaju wybryku, jak bojkot wyborów. Emerytowani posłowie Str. Nar., którzy wreszcie zabiorą się obecnie do uczciwych zajęć zawodowych i domowych, mogą czuć się obrażeni z powodu utraty posad w Sejmie, ale to nie znaczy, aby społeczeństwo miało bojkotować instytucje państwa polskiego.

Po uchwaleniu ordynacji wyborczej

Prasa Stronnictwa Narodowego wystąpiła z relacją, że posłowie Ruchu Narodowego Christians, Dembiński, Piestrzyński i Stahl... głosowali za nową ordynacją wyborczą do Sejmu i Senatu. W samej rzeczy głosowali oni za ustawami wyborczemi, co wynikało oczywiście z całego stosunku naszego ruchu do reformy ustroju i co zostało zresztą wielokrotnie w czasie dyskusji nad ordynacją wyborczą na łamach naszych pism wyjaśnione i uzasadnione.

Ustrój państwa to przedewszystkiem organizacja jego władz naczelnych oraz zawarta w tych ramach organizacja społeczeństwa, wyrażona w izbach przedstawicielskich. Konstytucja normuje sprawę pierwszą, drugą ordynacja wyborcza. Reforma ustroju nie może się ograniczać do zmiany ustawy zasadniczej i pozostawiać bez zmiany dawna organizację społeczeństwa, stanowiącą uzupełnienie i część składową porzuconej formy konstytucyjnej. Za reformą konstytucji iść musi nowa ordynacja wyborcza. Kto sprzyjał reformie konstytucji poprzeć winien konsekwentnie nowe ustawy wyborcze.

Uchwalone w czerwcu na nadzwyczajnej sesji Izb ordynacje mają swoje dobre i złe strony, ale posiadają z punktu widzenia naszych idej i dążeń tę zasadniczą zaletę, że odbierają istniejącym partjom politycznym wyborczy przywilej, gwarantowany im przez ordynację dotychczasową. W ten sposób odbierają im zarazem główną podstawę bytu.

Zdaniem naszem, niejednokrotnie już wyrażonem, przyczyni się to do uzdrowienia społecznego i politycznego życia w kraju, do wydobycia i mobilizacji nowych ludzi, pojmujących zdrowo służbę publiczną i stosunek do państwa. Obecne partje są niewątpliwie typem organizacji społecznej zwyrodniałym, anachronicznym i niemożliwym do utrzymania w ramach nowego ustroju. Trzy ich grzechy śmiertelne to: 1) walka o sprawy przebrzmiałe i nieistotne, która rozbija i sztucznie dzieli społeczeństwo oraz marnuje energję narodową; 2) ideologje abstrakcyjne, pozbawione związku z rzeczywistością i — co szczególnie charakterystyczne — pozbawione związku z rzeczywistością praktycznego działania danych tych stronnictwa: 3) fałszywy z gruntu stosunek do państwa, wobec którego każda z partyj uważa się jakby za konkurencyjną organizację.

Drugą niewątpliwą zaletą ordynacji sejmowej jest zmniejszenie ilości posłów. Każdy wie, że bardzo mały odcinek izb dotychczasowych, złożonych z 444 członków brał czynny udział w pracy ustawodawczej. Ogromna większość tworzyła jakby publiczność i słuchaczy sejmowego wiecu. Zmniejszenie ilości posłów odsunie więc nadmiar i zbytek a przyczyni się niewątpliwie do podniesienia poziomu oraz do zmiany charakteru obrad plenarnych Sejmu, które dotąd właściwie nie były terenem ścierania się poglądów, przekonywania i dyskusji. Mownica sejmowa była raczej katedrą do obwieszczania ustalonych już gdzieindziej i niezmiennych poglądów. Ulegnie też niewątpliwie zmianie rozkład pracy pomiędzy komisje i plenum. Najważniejszą wreszcie zmianą będzie nowy charakter posłów, którzy znajdą się tam wybrani jako osoby, nie zaś jako mandatarjusze sztabów partyjnych.

Ordynacja do Senatu posiada tę dobrą stronę, że stwarza zupełnie odrębną niż do Sejmu podstawę wyborczą. Da to w rezultacie ciało, które posiadać będzie własną, indywidualną fizjognomję, w przeciwieństwie do Senatu dotychczasowego, który był zwykłą miniaturą Sejmu, tyle że gęściej przyprószoną siwizną. Pozatem realizuje ona ważną a nową zasadę Konstytucji, w myśl której zasługa przełamuje mechaniczną równość praw.



ś. p.

Brygadjer Czesław Mączyński

Komendant Obrony Lwowa, odznaczony orderem Virtuti Militari i Polonia Restituta, Krzyżem Niepodległości i 4-krotnym Krzyżem Walecznych, niezłomny Żołnierz, prawy Obywatel, Ojczyźnie dobrze zasłużony

zmarł we Lwowie w dniu 15 lipca 1935

i w generalskich honorach, w manifestacyjnym pochodzie żałobnym całej Polski na wieczny odpoczynek odprowadzony został na Cmentarz Obrońców Lwowa.

Hołd wielkiej pamięci Bohatera!

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

Silna władza a idea narodowa

W dyskusjach politycznych powtarzają się dziś ciągle obydwa hasła, wymienione w tytule artykułu. Dla przeciętnych dziennikarzy i parlamentarzystów zarówno problem silnej władzy państwowej, jak i nacjonalizm — to głównie hasła, a nie *najgłębsza treść* współczesnego życia Polski. Stąd nieodpowiedzialne żonglowanie ideą narodową i zasadą mocnej organizacji państwa.

Ludzie lekkomyślni fantazują i teoretyzują na rozliczne tematy: może Polska będzie zdrowsza przy słabej władzy wykonawczej? może idea narodowa nie godzi się z ideą silnego rządu? może lepiej myśleć tylko o społeczeństwie a państwo samo się dalej utrzyma? może chwilowo narazić interesy państwa na szwank, byle ulżyć niesprawiedliwości społecznej? Pytania te są wyrazem chaosu, panującego w publicystyce polskiej. Wahania, zygzaki i sprzeczności to symbol myśli politycznej naszych publicystów.

Dla każdego pokolenia sprawą najważniejszą jest *synteza silnej władzy i nacjonalizmu.* Nie wolno być aż tak wżytym w niepodległe państwo, żeby zapominać o doświadczeniach dziejowych i o temperamencie polskim, wymagającym twardych hamulców. Właśnie zrośnięcie się z wolnością musi nam dać pełnię poczucia zarówno teraźniejszości, jak przeszłości i przyszłości. Kto oświadcza się za silnym régimem politycznym oderwanym od nacjonalizmu, albo kto propaguje nacjonalizm bez ostrej koncentracji władzy państwowej, ten nie wżył się głęboko ani w historję Polski, ani w obecną niepodległą Rzeczpospolitą.

Publicystyka obozu rządowego pisze o idei narodowej dość skąpo, jakby wstydliwie. Ta wstrzemięźliwość prasy prorządowej utrudnia wyraźną orjentację mas społecznych. Zwłaszcza u nas ludzie są przyzwyczajeni do jaskrawych drogowskazów politycznych. Można to przyzwyczajenie ograniczać, można mu odbierać charakter demagogiczny, ale trzeba się z niem liczyć.

Z drugiej strony opozycyjni publicyści narodowo-demokratyczni, zapałali taką miłością do liberalizmu i demokracji, że nacjonalizm połączony z silną władzą, wydaje im się zbrodnią. Ci sami ludzie, którzy od r. 1922, tj. od uchwalenia dawnej liberalnej konstytucji, wskazywali na ko-

Ciąg dalszy na stronie 2-giej.

Silna władza a idea narodowa

Ciąg dalszy ze strony 1-szej.

nieczność wzmocnienia władzy państwowej, na przestarzałość ideałów XVII i XIX wieku, ci sami krytycy parlamentaryzmu i demokracji — dziś nawracają nagle do liberalizmu, entuzjazmują się działalnością warchołów szlacheckich z XVI wieku, jak Stanisław Orzechowski i starają się dyskredytować ideę silnego rządu. Używa się przytem chwytów zarówno fałszywych historycznie, jak niesumiennych.

Są publicyści, którzy dowodzą, że silna władza istniała w Polsce za czasów saskich i że ona to wydała najgorsze rezultaty. Tylko zupełni ignoranci mogą się dać nabrać na podobną historję. Co wspólnego z nowoczesną silną władzą ma drapieżna, egoistyczna oligarchja możnowładców, rozbijająca Rzeczpospolitą za czasów saskich? Nie było wówczas w Polsce centralnego ośrodka myśli państwowej, co przecież, jest nieodzowną cechą tzw. silnych rządów. August II chciał dzielić się Polską z jej wrogami, jego minister, Brühl, wywoził z Polski olbrzymie sumy na to, by w Dreźnie powstawały przepyszne galerje obrazów, kolekcje klejnotów i porcelany. Czyż te fakty kompromitują wogóle ideę silnej władzy? Nigdy w świecie. W nowoczesnem państwie silna władza ma sens tylko w połączeniu z interesem narodowym. W XVII i XVIII w. wyrazem interesów narodowych był interes dynastji, która (poza Polską z jej tronem elekcyjnym) była związana bardzo mocno z krajem rządzonym i posiadanym. Dzisiaj rządzą w państwach autorytatywnych, jak Włochy, Niemcy, Austrja, Litwa etc., grupy narodowe, wykonujące silną władzę dla dobra państwa. Podobnie dzieje się w Polsce, to też zestawianie epoki współczesnej z czasami saskiemi jest i nonsensem i brakiem rzetelności.

Również perfidnie postępują ci publicyści, którzy bagatelizują ideę silnego rządu, a więc nową Konstytucję i nowe ordynacje wyborcze, w imię „sprawiedliwości społecznej“. Głoszą oni, że radykalizm antykapitalistyczny jest dziś sprawą najważniejszą. Problemy społeczno-gospodarcze grają obecnie większą rolę, niż dawniej, niemniej muszą one być zawsze podporządkowane ogólnej polityce, ogólnym interesom narodowo-państwowym. Kto, jak kto, ale młodzi narodowcy, choćby najbardziej radykalni, powinni tę prawdę rozumieć. Mętne gadanie o gospodarce antykapitalistycznej jest dziś modne wśród snobów i pseudoliteratów. Powtarzają oni komunały lub rzeczy, których nie rozumieją, — a jak się trafi okazja, to przyjmują posady, synekury i dobrze płatne ogłoszenia z rąk kapitalistów, zwłaszcza obcych, żerujących w Polsce. Czy nie lepiej zostawić zagadnienia społeczno-gospodarcze fachowcom, albo przynajmniej ludziom, którzy się na nich cokolwiek znają.

Niedomagania, istniejące w Polsce dzisiejszej, płyną przedewszystkiem z niedostatecznego zespolenia idei silnych rządów z nacjonalizmem. Widać to zwłaszcza w dziedzinie oświaty i szkolnictwa. Im gruntowniej dokona się u nas synteza silnej władzy z ideą narodową, tem pewniej nastąpi wyjaśnienie sytuacji politycznej i koniec złudzeń, nieporozumień i wątpliwości. Nie jesteśmy zwolennikami ujednolicenia wszystkiego na wzór niemieckiej Gleichschaltung, ale uważamy, iż wytworzyło się w Polsce za dużo przeciwieństw i sprzeczności. Wymagają one koordynacji.

MARJAN KARPIŃSKI

Międzynarodowa wymiana naturalna

Omówione przez nas w poprzednim artykule niebezpieczeństwa, które mogą czyhać na narody, niezdające sobie, w swej dobrej wierze, sprawy z zasadzek, „wilczych dołów“ handlu międzynarodowego, — nie uzasadniają jednak odrzucenia udziału w wymianie międzynarodowej wogóle, nie mogą prowadzić nas do pojętej w taki naiwny sposób, „samowystarczalności“. Poza Stanami Zjednoczonemi, które oprócz kauczuku, posiadają wszystkie surowce, żaden kraj na świecie nie jest w możności zaspokoić z własnych środków ogółu własnych potrzeb. Musi więc bądź kupować, bądź sprzedawać zagranicą. Ale jak urządzić sobie, z jakim, takim sensem — tę wymianę? Nowa polityka gospodarcza, stosująca interwencyjne zamknięcia rynków zbytu, uderza w teorje ekonomiczne, które ogłosiły, że najlepszym sposobem wzmożenia eksportu jest zniżka cen. Dzięki tej polityce prohibicyjnej, nowe państwa, lub państwa na nowo pragnące się „dorabiać“, organizują lub chronią — jako podstawę swej politycznej egzystencji i gospodarczej suwerenności — swą produkcję, posiadającą wyłączność na rynku wewnętrznym. Dlatego nie dadzą rezultatów międzynarodowe konferencje. Ograniczenia przywozu mają być środkiem zapobiegawczym przeciw odpływowi złota, wywołanem w ostatnich latach spekulacją banków emisyjnych, które skupywały je i ściągały, skąd się dało, i zamykały we własnych skarbcach, w celach nietyle gospodarczych, co bezpośrednio-finansowych, (utrzymania waluty), w dalszej linji właściwie państwowo-politycznych. Uznano, że drogą do dobrobytu narodowego, jest oderwanie się od rynków innych, t. j. nie wypuszczanie na nie swego złota, a pozatem pewne uniezależnienie się od obcych przez stworzenie, o ile to jest tylko wedle stanu przyrody i techniki kraju możliwe, własnego rynku produkcyjnego i konsumcyjnego. Ale z tą chwilą, niema recepty na walutę, (t. j. na t. zw. „zdrową“ walutę, na dawną modłę, opartą na złocie, czy też na złocie i srebrze; bimetalizm niczego zasadniczo w tej trudnej sytuacji nie zmienia), gdy niema normalnej, na wymianie międzynarodowej opartej, gospodarki. W tym stanie rzeczy, zawodzi wyobraźnia ekonomistów, teoretyków i praktyków. Nikt nie może pokusić się o nakreślenie wizji przyszłego układu stosunków ekonomicznych — skąd wyjdzie zmiana, jakie przybierze ona formy?

Kontyngenty i kompensacje już również nie podtrzymują wymiany pieniężnej między narodami, a to z powodu ograniczeń dewizowych oraz stosowania powszechnego procederu dewaluacji. Np. nasz eksport do Niemiec jest ze względów dewizowych zamknięty. Odbiorcy naszych towarów nie otrzymują od rządu niemieckiego dewiz dla spłacenia naszych eksporterów, a nasi kupcy nie wykorzystują kontyngentów, bo obawiają się, że nie otrzymają zapłaty. To samo spotyka nas we Włoszech, Jugosławji, Rumunji, na Węgrzech, w Hiszpanji, itd., gdzie ograniczenia dewizowe nie pozwalają zużytkować naszych realnych możliwości eksportowych, choćby nawet one były z punktu widzenia rynkowego i celnego w pełni uzasadnione. Również Anglja potrafiła to tak jakoś urządzić, że eksport nasz do niej spadł obecnie poważnie (w ciągu 4 miesięcy o 9 milj. zł.), i to wbrew naszym radosnym przewidywaniom. Nowy nasz z Anglją, nibyto zasadniczo dla nas korzystny, traktat handlowy, przesuwa saldo obrotów handlowych na naszą niekorzyść. Tak się urządzają wobec nas, nasi nowi obecni „przyjaciele“. A ci inni, całkiem już nieskomplikowanie bojkotują nasz eksport: Francja poprostu obcina nam nasze kontyngenty, a Sowiety nasze do nich dostawy. Podobnie podcina nasz eksport i dewaluacja (np. w Belgji). Międzynarodowa wymiana pieniężna (nawet ta „zmodernizowana“ przez kontyngenty i kompensacje), albo jest zahamowana, albo działa przy zredukowanych do minimum obrotach.

Wobec tego, wobec ogólnego w świecie braku gotówki, względnie chronienia tej złotej „gotówki“ przez państwa z motywów polityczno-imperjalistycznych, z motywów albo ofensywnych, albo defensywnych, — coraz szersze zastosowanie w świecie znajduje „najprymitywniejsza“ forma handlu, mianowicie handel wymienny, wymiana naturalna, towaru za towar. Jest to jedyny ratunek kupców przeciw wałom celnym 40 państw, przytem jedyna droga podtrzymania międzynarodowego obrotu towarowego. Mówi się, że „nawet“ rządy biorą udział w podobnych umowach, ułatwiających eksport. Naszem zdaniem zaś, tylko i przedewszystkiem rządy państw są powołane i predystynowane na kontrahentów takiej właśnie wymiany naturalnej. Tak więc np. południowa Walja ofiarowuje Irlandji węgiel wzamian za bydło na rzeź. Brazylja wymienia kawę za węgiel niemiecki i okręty japońskie. Sowiety oddają ropę naftową za australskie owce, oraz naftę za ser szwajcarski i aluminium kanadyjskie. Hiszpanja wymienia wino i pomarańcze na polskie i irlandzkie jaja. Danja wysyła do Polski śledzie, a otrzymuje polskie koniki do pracy na roli, zaś z Jamajką wymienia masło za banany. Francja eksportuje materjały do budowy kolei do Rumunji, i otrzymuje wzamian zamiast pieniedzy, benzynę; Węgry wymieniają swoje wagony kolejowe na egipską bawełnę, itd. itp.

Ale i taki proceder nie rozwiązuje jeszcze sprawy zadowalająco; tu dopiero zaczynają się, coprawda dotąd niedostrzegane, trudności i niejasności przedewszystkiem teoretyczne, ale mogące też powodować i praktyczne niekorzyści. Mianowicie, powstaje pytanie, jak należy oceniać i porównywać wartość dóbr wymienianych przez państwa, operujące swojemi pieniądzmi wewnętrznemi, lub pieniądzem wewnętrznym z jednej, a pieniądzem opartym na złocie, z drugiej strony. Podkreśliliśmy i wykazaliśmy w poprzednim artykule, że dla takich dwu pieniędzy nie istnieje tertium comparationis (bo niema tu tego „punktu odniesienia“ wartości pieniądza, jakim jest wartość substancji złota, wyrównująca się i ustalająca na rynku światowym); niema więc wspólnej miary dla porównania kosztów produkcji i użyteczności wytworów dwóch różnych krajów, niewiadomo więc, ile dane państwo ma oddać swoich dóbr, a ile drugie państwo wymieniające się, swoich dóbr czy usług właśnie za tamte wymienianych.

Wprawdzie dotychczas nad tem się nie zastanawiano i wymieniano dobra wedle ich ceny w kraju wytworzenia, pomnożonej przez współczynnik relacji waluty tego kraju i waluty kraju zakupującego. Bo niema się odwagi spojrzeć w oczy prawdzie i rzeczywistości, względnie nie czyni się tego, bo nie wie się, co począć, gdy iluzja rozwieje się ostatecznie. Wskutek inercji, prawem bezwładności myślowej, uważamy np. Reichsmarkę za dobry pieniądz pełnowartościowy i nadajemy mu pewną relację do złotego polskiego, jak za „dobrych“ czasów, uwiedzeni refleksem jej siły kupna w Niemczech. Ale z tej jej wewnętrznej w Niemczech siły kupna możemy skorzystać tylko w takim rozmiarze, w jakim będzie pozostawał stosunek siły nabywczej Reichsmarki do siły nabywczej złotego, t. zn. o ile np. nasze zboże będzie miało wartość wyrażoną w stosunkowo dużej ilości Reichsmarek, a niemieckie barwniki będą miały wartość wyrażoną w stosunkowo małej ilości złotych polskich — to w takim razie wymiana naturalna zboża za chemikalja będzie dla nas korzystna, a w odwrotnym wypadku (jak to ma miejsce, niestety, w rzeczywistości obecnie) — będzie niekorzystna, bo Niemcy w tym ostatnim wypadku utrzymując (t. zn. wmawiając w nas) możliwie najwyżej wartość swoich towarów w stosunku do naszych, otrzymują stosunkowo dużą porcję „siły nabywczej“ u nas, tj. możność nabycia dużej ilości naszych dóbr, dając nam wzamian stosunkowo małą porcję „siły nabywczej“ u siebie, tj. możliwie najmniejszą ilość swoich dóbr, przez nas pożądanych. A od czegóż zależą i jak się mają ustalić te „stosunkowe siły nabywcze“, czyli — wartość dóbr różnych krajów, wartość dwu różnych pieniędzy wewnętrznych? Jeżeli ktoś powie: wedle siły nabywczej (kaufkraztparitet) tego pieniądza w swoim kraju — to znajdziemy się w tym samym punkcie, z któregośmy w rozważaniach w tym ustępie wyszli, czyli znajdziemy się w błędnem kole, staniemy przed petitio principii. Widzimy więc, że i w wymianie naturalnej międzynarodowej, jedynej formie handlu, jaka nam właściwie obecnie, po wycofaniu złota, pozostała, — brak jest tertium comparationis dla wartości wymienianych dóbr różnych krajów, czyli możliwy jest tylko chaos, sytuacja jest więc w dalszym ciągu beznadziejną.

Ten stan rzeczy, powtarzamy, wynika z faktu określania pieniężnej wartości dóbr w pieniądzu wewnętrznym danego kraju, który to pieniądz ma tę właściwość, — którą chcemy tutaj ustalić — że ulega oddziaływaniu ze strony rynku międzynarodowego, zagranicznego, lecz sam na tenże rynek, na kształtowanie się wartości na nim, nie oddziaływuje. Oddziaływanie jest zatem jednokierunkowe. Saldo wymiany z zagranicą, złoto czy towar przybyły z zewnątrz — mogą być podstawą emisji pieniądza wewnętrznego, ale nie istnieje odwrotna relacja: zmiany ilości, siły nabywczej pieniądza wewnętrznego, nie mogą wpływać na kształtowanie się wartości, ruch cen na rynku zagranicznym, ponieważ na tym rynku żadnej wartości czy siły nabywczej, sam przez się, zgoła nie reprezentuje.

Wróciliśmy właściwie do metody z zamierzchłego pierwszego okresu rozwojowego ludzkości, okresu osad rodowych, gdy to sporadyczną wymianę bogactw między „całościami“ społeczno-gospodarczemi organizowały „konferencje“ rady starców, czy naczelników plemion i oni to ustalali w przetargach wartość wymienianych dóbr i normy porównywania ich ilości, np. ile skór należy się za krzemienny oszczep. Nic innego nie dzieje się obecnie, Nie trzeba dodawać, że momenty walki wplatały się odrazu wtedy w momenty współdziałania gospodarczego; przewaga siły fizycznej, podstęp, wyzyskiwanie nieświadomości drugiego itd. służyły do podnoszenia wartości swoich dóbr. Trudno jednak w obecnej naszej erze na tych przesłankach tylko, opierać gospodarcze współdziałanie międzynarodowe. Ludzkość nie może iść długo i ciągle tą drogą. Idea suwerenności państw, pewien bądź co bądź rozwój i wpływ etyki, zasady równowagi politycznej — domagają się jakichś ideowych, racjonalnych, moralnych wytycznych wartościowania dóbr i wymiany między narodami. Międzynarodowy rozbój w biały dzień, z powodu pogoni za złotem i rynkami zbytu, jakiemu ma ulec obecnie np. Abisynja, nie może być ciągle jedynem przez ludzkość wymyślonem, rozwiązaniem sprawy.

Ale i względy czysto teoretyczno-ekonomiczne wymagają jakiejś prostej i uczciwej zasady przewodniej w wymianie międzynarodowej. Aby jakakolwiek wymiana wogóle mogła zaistnieć, potrzeba dla biorących w niej udział wspólnego systemu zasadniczych pojęć gospodarczych, wspólnego mechanizmu ocen cywilizacyjnych wartości, wspólnego miernika wartości. Inaczej, zawsze możliwy jest wyzysk, tak jak żeglarze Kolumba za nic niewarte świecidełka uzyskiwali od dzikich złote bryły, i niema wtedy mowy o wymianie, o stałem współdziałaniu gospodarczem, zastępującem pierwotną grabież. A podobnie obecnie właśnie brak jak wykazaliśmy wyżej, wspólnego miernika wartości w wymianie międzynarodowej. A tymczasem, ten wspólny miernik wartości jest niezbędny, jako podstawa wszelkiego systemu rynkowego, do którego mogłaby się dostosowywać już nietylko ekspanzja gospodarcza pojedynczego producenta i kupca, lecz podział pracy między narodami. Jeśli bowiem nie będzie wiadomem, wedle jakiej wartości dobra wymienić, nie będzie stałej wymiany wogóle, i niewiadomo będzie, czy i co produkować ma dany kraj sam, a na co ma liczyć z zagranicy, nie będzie więc mogła się wyrównać i ustalić skala potrzeb, właściwa danemu etapowi rozwoju kulturalnego i cywilizacyjnego.

Znalezienie więc uczciwej i jasnej zasady porównywania wartości dóbr wymienianych między różnemi krajami, jest bardzo ważnem zagadnieniem.

Zestawmy krótko nasze dotychczasowe uwagi. „Wilcze doły“ wymiany międzynarodowej wynikają z jej obecnego stanu, tem charakterystycznego, że przy usunięciu wypłat w złocie, i wyrażaniu wartości dóbr wytwarzanych w poszczególnych krajach w ich pieniądzu wewnętrznym, nieopartym na złocie — zachodzi brak wspólnego miernika wartości i narzędzia wymiany dla rynku światowego, a w tym stanie rzeczy możność wykorzystywania przymusowego położenia lub nieświadomości rzeczy jednego narodu przez inny, drogą dowolnego, niewspółmiernego wartościowania wymienianych dóbr. Uwagi te szkicowemi rysami nakreśliliśmy przy przyjęciu takiego stanu rzeczy w wymianie międzynarodowej, że państwa biorące w niej udział posługują się pieniądzem wewnętrznym w czystej jego formie. Oczywiście, nasze roztrząsania teoretyczne wyprzedzają rozwój wypadków; narazie, tej czystej formy pieniądza wewnętrznego nie promulgowano, nie ogłoszono ludzkości oficjalnie i formalnie, porzucenie złota, jako pieniądza. Ale faktycznie obecna sytuacja do tego się sprowadza. A więc, badanie teoretycznych współzależności, dających się wykryć dla tego mechanizmu pieniądza wewnętrznego, jest bardzo owocne i płodne dla rozświetlenia także faktycznych stosunków w obrocie międzynarodowym, przenikniętych pierwiastkami sprzecznych zasad: wspólnego pieniądza złotego i niezależnych od siebie wzajem papierowych pieniędzy wewnętrznych.

Nawiasem mówiąc, wszystkie paradoksy, dysproporcje, przerosty itp., to znaczy, cała nędza „szarego człowieka“ — wynika z tej sprzeczności wewnętrznej, tkwiącej w zasadzie przewodniej wymiany międzynarodowej; z tego, że narody nie uważają swego pieniądza wewnętrznego za normalny, sam w sobie, motor postępu wewnętrznego, lecz za chwilowy przyrząd do wydzierania sobie złota i ewentualnie niezbędnych surowców. Dlatego też nieudają się i nieudadzą „eksrymenty“ Roosevelta, kłopotami obarczony jest Schacht i Mussolini, bo wszyscy oni, czy faszyzm czy hitleryzm, czy inny „trust mózgów“, — mimo szumne programy światoburcze, nie wyrzekli się starych, rutyną przemawiających metod, nie potrafili dla swoich, pięknych haseł wymyślić im naturą rzeczy odpowiednich, praktycznych środków. Dla celów przebudowy społecznej, np. reagraryzacji, budownictwa nowych gospodarstw dziedzicznych, czy przedsiębiorstw, potrzebnych nie dla rynku, lecz dla państwa, dla prac inwestycyjnych itp. planów wybiegających w przyszłość, — używali i używają starych środków ekonomji klasycznej, która była pomyślana dla automatyzmu rynkowego, utworzonego z inicjatyw i rachub gospodarczych wolnych przedsiębiorstw indywidualnych, albo opierała się na zasadzie „hominis oeconomici“, i była przeznaczona do regulowania ex post stosunków, przez tę wolną grę interesów wytworzonych. Ekonomiści służący planowości państw mniej lub więcej totalnych, dla swej ekonomji, której celem i przedmiotem są wartości przyszłe, używają praw i instrumentów ekonomji, której celem i przedmiotem były zawsze wartości już dane i teraźniejsze. Odnosi się wrażenie, że ta żałosna sprzeczność i niewspółmierność, nie jest nawet uświadomiona sobie przez tych wysoko postawionych ludzi. Dalszem więc założeniem, potrzebnem, by nasza analiza „wilczych dołów“ wymiany międzynarodowej sprawdzała się w rzeczywistości jest, obok 1. czystej postaci pieniądza wewnętrznego, oderwanego całkowicie od złota, także 2. wymóg, by wynikające z jego istoty konsekwencje logiczne były stosowane bez odchyleń spowodowanych rutyną i przesądami dawnych nałogów myślowych. Zaznaczyliśmy już, że dotychczasowy rozwój stosunków uważamy za zdążający w obu tych kierunkach, jakkolwiek narazie myśl ludzka, porzuciwszy stare pojęcia i formy współdziałania i nie mogąc do nich, bez ich zmiany, powrócić, nie zdołała jeszcze wypracować sobie nowych, niezmieszanych mechanicznie ze staremi, pojęć i instytucyj. Rozważania nasze przeto leżą, jak sądzę, na linji rzeczywistych tendencyj rozwojowych stosunków gospodarczych.

W takim stanie rzeczy zaś, celem dalszym tych uwag było, rzucić trochę światła na hasła głoszone z większym nieraz zapałem, niż zrozumieniem rzeczy przez nie-fachowców: pieniądza wewnętrznego, manipulacji pieniądzem, i dzięki niemu dostępnych wszelkich możliwości... Otóż, to wszystko jest piękne i słuszne, ale trzeba zdawać sobie sprawę z wyłaniających się z tych zasad dalszych zagadnień, torować drogę ich rozwiązywaniu, jednem słowem, starać się przemyśleć rzecz do końca, do głębi, wywołać przez to naprawdę twórczy ruch umysłów. Inaczej, robi się z zagadnienia przesypywanie plewy i w tej plewie słów pustych grzebie się samo zagadnienie, nie posuwając naprzod najsłuszniejszej nawet sprawy. Nie jest bowiem posunięciem sprawy naprzód, jeśli ten lub ów ekonomista-amator powtórzy za profesorem uniwersytetu pewne tezy, choćby nawet w broszurce, ale wypaczając je np. przez powoływanie się na nie dla innych celów, niż te, dla których zostały skonstruowane, — i następnie uważa się, za zagadnienie jest już rozwiązane i program wymyślony. Tymczasem, sprawa wymaga jeszcze wiele pracy i przygotowania dla niej głęboko nieraz sięgających fundamentów ustrojowych, pojęciowych, psychologicznych itd.

Objektywny wniosek wyciągnięty z naszych uwag o „wilczych dołach“ wymiany międzynarodowej, może być dwojaki: albo 1) uznamy, że w wyniku nakreślonych wyżej sprzeczności, trudności itd. — pieniądz wewnętrzny sprowadza wymianę międzynarodową do absurdu i dlatego, skoro nie można zrezygnować z wymiany międzynarodowej, należy, w konkluzji, koncepcję pieniądza wewnętrznego jak najrychlej i całkowicie odrzucić, nie czyniąc z niego nawet przejściowego instrumentu poprawy gospodarczej; albo 2) orzec, że dotychczasowa idea pieniądza wewnętrznego chroma, z powodu traktowania jej jako prowizorycznej i z powodu symbiozy jego w wymianie wewnętrznej z ideą złota, jako miernika wartości w handlu światowym; należy więc odrzucić konsekwentnie i radykalnie złoto, jako miernik i narzędzie wymiany także w wymianie międzynarodowej, i uzupełnić koncepcję pieniądza wewnętrznego nową ideą mierzenia i porównywania wartości w wymianie międzynarodowej.

Byłoby ciekawem zbadanie sprawy w tym drugim kierunku.

CZESŁAW LECHICKI

Z bojów o polskość Śląska

Nie przypadkowy to zbieg okoliczności, że na czele polskiej literatury regjonalnej w odrodzonej Ojczyźnie kroczy Śląsk. W strukturze wewnętrznej, jak i w zewnętrznej konfiguracji politycznej zajmuje on jedną z najważniejszych pozycyj. Jego położenie geograficzne, jego bogactwa naturalne, jego oblicze demograficzne, jego układ etnograficzny, poręczają Śląskowi samodzielność przyrodzoną w stopniu teoretycznie nie mniejszym, jak to czyni administracyjnie w sferze praktycznej autonomja, uchwalony swego czasu statut województwa.

I dobrze jest, że potężny, z Warszawy regulowany prąd centralizacji nie przeszkodził rozwojowi zdrowego, umiarkowanego regjonalizmu, nie stłumił lokalnych właściwości, miejscowych tradycyj i zwyczajów, nie zatarł obyczajowych odrębności. Te właśnie swoiste cechy ludu śląskiego pobudzają natchnienie artystów i znajdują literackie odbicie w pracach beletrystycznych. Z plastyków tamtejszych wybili się profesor Stanisław Ligoń, jako senjor grupy w dziedzinie sztuki religijnej dekoracyjnej i malarstwa rodzajowego; dalej portrecista Kidoń, grafik Steller, malarz Bunsch, impresjonista R. Myśliwiec i in. Powieść regjonalną śląską reprezen-

Ciąg dalszy na stronie 3-ciej.

Ciąg dalszy ze strony 2-giej.

tują znakomicie: G. Morcinek, Cieszyniak i warszawianka P. Gojawiczyńska w zastosowaniu do Śląska Górnego. Nagrodę śląską za rok 1932 otrzymała Z. Kossak-Szczucka za tom nowel: „Nieznany kraj“.

Przoduje też Śląsk w badaniach nad przeszłością własną, górną, lecz chmurną. Z pamiętników i monograficznych opracowań historycznych wymienimy tu przykładowo kilka ledwie rzeczy wartościowych, jako przyczynki źródłowe, bądź próby syntetyczne. A więc najpierw prof. F. Konecznego: „Dzieje Śląska“ (1931), zarys popularny, metodycznie ujęty; potem A. Benisza „Górny Śląsk w walce o polskość“ (1930), A. Matusiaka „Walki o ziemię cieszyńską w latach 1914—20“ (pamiętnik nauczyciela, 1930), P. Koniecznego „Śląsk cieszyński pod władzą czeską“ (1924), S. Janickiego „Dziesięć lat przynależności Śląska do Rzplitej“ (1932), J. Kudery „Obrazy Ślązaków wspomnienia godnych“ (dotąd t. I, 1920, tu m. in. życiorysy Miarki, Lompy i Ligonia) itp. Źródła i dokumenty o „G. Śląsku w walce o zjednoczenie z Polską 1918—22“ wydał Wł. Dąbrowski (1923).

Do liczby tego właśnie rodzaju publikacyj przybyła ostatnio pokaźna rozmiarami, ozdobiona ilustracjami i starannie wydana książka znanego publicysty, b. redaktora naczelnego dziennika „Polonia“ p. Władysława Zabawskiego pt. „Droga do ziemi obiecanej“. Stanowi ona pierwszą monografję udziału ewangelików śląskich w dziele odrodzenia narodowego na Śląsku cieszyńskim, gdzie przyznaje się do Kościoła augsburskiego trzecia część ogółu ludności polskiej. Już ze względu na poważną ich siłę ilościową, pomnożoną kilkakrotnie przez kwalifikacje jakościowe, zasługiwali w całej pełni oddawna na swego historyka i nareszcie w osobie Zabawskiego nietylko kronikarza, ale i dziejopisa znaleźli.

Wytyczył on sobie ramy chronologiczne, zamknięte granicami lat 1848—1920, tj. od „wiosny ludów“ do fatalnej dla Rzpltej decyzji Rady ambasadorów mocarstw koalicyjnych, rozłupującej Śląsk Dolny na dwie połowy i odrywającej tysiące Polaków od macierzy na rzecz zaboru czeskiego. Daty owe zbiegają się prawie dokładnie z długością żywota głównego pioniera polskości w Cieszyńskiem i najwybitniejszego przewódcy ewangelików tamtejszych w walce narodowej, ks. senjora Fr. Michejdy, pastora w Nawsiu.

Ucisk religijny na Śląsku cieszyńskim, w erze kontrreformacji rozpoczęty przez Habsburgów i w imię germanizacji podtrzymywany, skończył się nominalnie 1781 r., wydaniem pamiętnego edyktu tolerancyjnego cesarza Józefa II. Odtąd wolno było budować mniejszościom wyznaniowym świątynię i szkołę, gdzie było 100 rodzin ewangelickich, względnie 500 dusz choćby rozprószonych. Pełne równouprawnienie uzyskali protestanci austrjaccy dopiero w 1848 r. i w patencie cesarskim z 1861 r.

Dwa i pół wieku twardej walki o wolność sumienia wyrobiło w ewangelikach śląskich hart, ofiarność, wytrwałość, głęboką religijność, i przywiązanie do wiary. Wysoki poziom moralny łączył się z rozwiniętem poczuciem narodowem, uświadomienie społeczno-oświatowem. Ewangelicy śląscy żyli na wyższej stopie zamożności i co za tem idzie osiągnęli wyższą kulturę. Co jednak najciekawsze, wpływ polski zakorzeniony był wśród nich najwcześniej. Przed 1848 r. tylko w ewangelickich szkołach powszechnie uczono po polsku, lud karmił się książkami polskimi (biblja, kazania i postylle Dombrowskiego, Grzegorza z Żarnowca i in.), tak dalece, że ewangelicyzm reprezentował głównie polskość na Śląsku austrjackim, gdy katolicy dla związku z Morawą ulegli czeszczyźnie. Niemcy zgermanizowali szlachtę i utwierdzali się w miastach, a na wieś czyniła napór czeszczyzna przez kościół i szkołę. Odrodzeńczy ruch narodowy mógł w tych warunkach wyjść tylko od tej części ludności polskiej, która dzięki szkołom była najlepiej uświadomioną patrjotycznie, tj. właśnie ludności ewangelickiej.

Pierwszymi szermierzami polskości na szerszej widowni krajowej byli sami ewangelicy, jak późniejsi rejenci: A. Cinciała i A. Kotula, dalej J. Bujak, J. Heczko, wydawca kancjonału pol. i zwłaszcza Paweł Stalmach (1824—1891), nauczyciel i najzasłużeńszy publicysta śląski, przez pół blisko wieku naczelny budziciel ducha narodowego w tej dzielnicy, założyciel i redaktor „Tygodnika Cieszyńskiego“ (1848—51), przemienionego później od 1851 na „Gwiazdkę Ciesz.“, która odegrała rolę elementarza politycznego dla Polaków śląskich.

Pierwszym posłem pol. ze Śląska do parlamentu wiedeńskiego był od 1873 r. chłop-ewangelik Jerzy Cienciała, postać wprost reprezentacyjna. Nauczycielstwu przewodził deputowany na sejm opawski, Jan Śliwka, autor dobrych podręczników szkolnych i działacz zborowy, wydawca „Roczników Ewangel.“, poświęconych (1862) „rzeczom kościoła i szkoły“. Na niwie kościelnej pracował po linji postulatów narodowych ks. Otto z Warszawy. Ale już około 1876 r. zaczynają Niemcy ryć od strony Bielska, mając w swem gronie bojową jednostkę, senjora Teod. Haasego.

Zniknęła panująca do 1884 r. jednomyślność polityczna międzywyznaniowa, Haase został wybrany superintendentem diecezji, poczem Stalmach skapitulował przed widmem rządów niemieckich we własnym Kościele, przeszedł z „Gwiazdką“ do obozu katol. i na łożu śmierci sam przyjął katolicyzm. Walkę z Haasem podjął młody pastor w Nawsiu, ks. Fr. Michejda. On polemizował wymownie ze Stalmachem w obronie skuteczności pracy narodowej wśród ewangelików, on uzasadniał i podtrzymywał ich udział w stowarzyszeniach polskich, gdzie garnęli się nieraz w dwóch trzecich członków albo przynajmniej w połowie, on wreszcie nie dopuścił, aby współwyznawcy poddali się pod komendę niemiecką.

Spór narodowościowy osłabił stan wewnętrzny ewangelików. Zmalała wiara, rozluźniły się obyczaje, z 57 szkół zostało ledwie 25, gimnazjum ewang. połączono z katolickiem, wzmogło się pijaństwo i sprzedawanie ziemi w obce ręce. Rozdwojenie polityczne mściło się kurczeniem polskości w kraju. Łagodził waśnie postępowy ksiądz katolicki i poseł, Ign. Świeży, ale po jego śmierci wzięło spowrotem górę renegactwo, już od 1885 mające bazę operacyjną w czasopiśmie kościelnem „Nowy Czas“, któremu ks. Michejda przeciwstawił „Przyjaciela Ludu“ z dodatkiem: „Przegląd Polityczny“. Piórem i żywem słowem na każdym kroku manifestował on patrjotyzm.

Dzielnego pomocnika zyskał ks. Michejda w bracie swoim, adwokacie Janie, długoletnim pośle do parlamentu i burmistrzu Cieszyna. Wogóle zaznaczyć należy, że uświadomienie narodowe w ziemi cieszyńskiej nastąpiło wcześniej, niż w ziemi frydeckiej i opawskiej, skutkiem czego prędzej zaczęto wybierać posłów polskich, niż czeskich. Brakło ludzi, którzyby narodowo przebudzili Frydeckie i dlatego zostało ono utracone na rzecz Czechów, którzy mieli punkt wypadowy w parafji katol. w Orłowej. Już w 1910 roku na froncie walki polsko-czeskiej ubytek dusz polskich wyraził się w ogromnej cyfrze 40 tys. Zresztą „Narodni Listy“ jeszcze 1894 r. zapowiedziały, że o Cieszyn stoczą Czesi bój nie z Niemcami, lecz z Polakami. Z tego niebezpieczeństwa nie zdawano sobie niestety sprawy po naszej stronie. Jedni ewangelicy pierwsi wystąpili przeciw czechizacji kraju, usuwając czeszczyznę ze swych szkół, dzięki czemu w zagłębiu karwińsko-ostrawskim ludność ewangelicka nie uległa wpływom czeskim.

Agitatorzy socjalistyczni obojętni byli narodowo, raczej sprzyjali utrakwizacji szkół. Na niemczeniu miast wydatnie zaważyli żydzi. Pierwszym natomiast chłopem-wszechpolakiem, członkiem Ligi Pol. był ewangelik Franc. Górniak. Ożywienie nauczycielstwa w kierunku narodowym było zasługą ewangelika Jerzego Kubisza, redaktora i wydawcy „Miesięcznika Pedagogicznego“ (1892). Nie wyszło na zdrowie sprawie polskiej rozbicie Macierzy Szkolnej w Cieszynie (założonej 1885 przez Stalmacha), skąd w ciągu 1905 r. wycofali się z zarządu księża katoliccy z ks. Londzinem na czele, pociągając za sobą Związek Śląskich katolików. Rozgorzała wojna wyznaniowa, paraliżująca energję sił polskich.

Wzmocnił je natomiast wydawany od 1906 bezpartyjny, radykalno-narodowy „Dziennik Cieszyński“, kierowany przez p. Wł. Zabawskiego, autora omawianej książki, działający w ścisłem porozumieniu z ks. Michejdą. Był dziennik tem potrzebniejszy, że niebawem renegat Kożdoń, nauczyciel, stworzył śląską partję ludową odstępców i w 1909 r. zaczął wypuszczać swego „Ślązaka“, pismo gadzinowe; plwające na wszystko co polskie. Koordynacji politycznej służyło Pol. Zjedn. Narodowe (od 1911), przewadze niemieckiej w Kościele ewang. stawiał opór wytrwały „Poseł Ewangel.“ (zakoż. 1910), pismo religijne. Superintendenci w myśl woli mniejszości germanizowali większość, czemu jednostki spośród pastorów zaradzić nie mogły.

Po wybuchu wojny światowej zaznaczyła się mimo to na Śląsku ciesz. orjentacja koalicyjna, robota NKN-u spotykała się z niechęcią. Gdy tylko wolno było jawnie się wypowiedzieć, manifestowano na rzecz powstania własnego państwa z przyłączonym w całości Śląskiem. Niestety, nie przewidziano walki uporczywej, a niefortunnej z Czechami, która trwała od końca 1918 do połowy 1920 r., a skończyła się przegraną naszą.

Zaraz po rozpadnięciu się Austrji wybrano 20 grudnia 1918 ks. Michejdę senjorem śląskim, a 3 grudnia t. r. wysłało dwudziestu pastorów krajowych memorjał do Paryża za przyłączeniem Śląska do Rzplitej. Nic nie pomogło, kraj został rozdarty i połowę ewangelików zostawiono pod zaborem czeskim w warunkach smutnych, skąd własną zapobiegliwością musieli sobie wywalczać samostanowienie. W pół roku umarł 73-letni ks. Michejda, wielki jako człowiek, duszpasterz i patrjota.

Oto garść ciekawszych faktów, dat i nazwisk, wydobytych z książki Zabawskiego.

Autor oparł się na czasopismach ówczesnych, pamiętnikach i nielicznych przyczynkach literatury polsko-ewangelickiej. Konstrukcja pracy jest dość wiotka; raczej szereg obrazków, niż zwarta całość organiczna. Prawie każdy rozdział istnieje sam dla siebie, treść rozbita na szczegóły niejednokrotnie rozbieżne, odbiegające od wątka głównego. Tło wcale szerokie, przerastające temat ściśle do ewangelików ograniczony w założeniu. Książka daje szkicowy pogląd również na udział żywiołów katolickich w ruchu narodowym Śląska.

Z bojów o polskość Śląska

P. Zabawski zna z doświadczenia i wszechstronnie z autopsji stosunki tamtejsze. Stąd jego kompetencja do zobrazowania miejscowych ludzi i wydarzeń. Uderza w jego publikacji rzadki u publicystów objektywizm, spokój i równowaga w ocenie spraw i osób. Sam katolik, nie żywi cienia uprzedzeń do ewangelików, owszem traktuje swoje zagadnienia con amore, rozkłada sprawiedliwie światła i cienie, wszędzie właściwą przykłada miarę, nie unosi się nawet tam, gdzie przychodzi mówić o błędach i winach polityków polskich, zwłaszcza po stronie katolickiej.

Unika polemiki, aby się nie zniżać do pamfletu. Stara się nie jątrzyć wywlekaniem drażliwych momentów z przeszłości, rozsądzaniem spornych kwestyj, które dawno na szczęście przebrzmiały i które rzeczywistość falą czasu minionego bezpowrotnie pokryła. Delikatnością autora tłumaczymy też sobie pominięcie milczeniem przykrych zarzutów, jakie ewangelikom tamtejszym postawił niejaki Paweł Prawdzic (pseudonim ks. Brzuski?) w sporej broszurze: „Protestantyzm na Śląsku cieszyńskim“ (1928), które jednak wymagały może wyjaśnień i sprostowania kompetentnego.

Zabawskiemu chodziło o rozwianie w świetle historycznem legendy, w pewnych kołach hodowanej, o rdzennie jakoby niemieckim charakterze luteranizmu w Polsce. Tymczasem w świetle omawianej książki okazuje się jasno dominujący pozytywny udział ewangelików w dziele zachowania, ugruntowania i poszerzenia polskości na tej prastarej ziemicy piastowskiej nad Białą, Olzą, i Ostrawicą, na najbardziej zagrożonych inwazją obcych, wrogich elementów rubieżach zachodnio-południowych.

Poważna, bogata w materjał faktyczny, rozpatrzony krytycznie i przejrzyście uporządkowany, monografja Zabawskiego, lekko, zajmująco napisana, winna spełnić obok naukowego także wybitne zadanie propagandowe wśród ewangelików polskich, stawiając im przed oczy chlubne tradycje polskie, którym i dziś mają wierni pozostać.

Z TEATRÓW LWOWSKICH

Teatr Rozmaitości.

„A w a n t u r a w r a j u“, farsa w trzech aktach Arnolda i Bacha.

Na inaugurację nowego „sezonu“ — letniego (zwanego dotychczas zwykle ogórkowym), dano onegdaj „Awanturę w raju“, prawdziwą nagrodę pocieszenia dla tych wszystkich, którzy siedzą jeszcze we Lwowie.

Sztuka Arnolda i Bacha jest b. wesołą choć niezbyt wysokiej klasy farsą na temat stosunków urzędniczych (bolączki awansowe) i obyczajów weekendowych. Niespodziewanie okazuje się bliższy związek pomiędzy obiema sprawami. Pominięty przy awansie za brak inicjatywy radca Dudek, podejmuje ją w charakterze kontrolora moralności w weekendowym hotelu, przyłapując w nim — kolegów i przełożonych. „Inicjatywa“ zostaje nagrodzona: zagrożeni raportem, windują Dudka kolejno w ciągu jednego dnia na nadradcę, naczelnika wydziału i szefa departamentu (wprawdzie tylko p. o.).

Ta swoista recepta na awans jest pełna przezabawnych sytuacyj i kipiących werwą scen, którym reżyserja J. Strachockiego nadała doskonałe tempo i prawdziwie farsowe oblicze. Bohaterem wieczoru w roli Dudka był p. Brochwicz, przypominający trochę maską i rodzajem gry Leliwę. Jego naturalny, pełen miarru komizm odbijał tem silniej przy trochę zmanierowanej grze p. Krasnowieckiego. P. Białoszczyński nawet w farsie utrzymał stopień gry na wyższym poziomie. Z pań świetna była p. Bohdańska w roli straszącej po ministerstwach pogromczyni niemoralności posłanki Karczochowej. Dużo wdzięku miały pp. Kossocka i Łęcka. Wszyscy inni bawili dobrze siebie i publiczność, żywo oklaskującą wesoły wieczór.

Przeniesienie akcji na teren warszawski nadało perypetjom nominacyjnym trochę pieprzyku aktualności. W okresie chronicznego przesuwania terminów awansów (1 lipca, 1 sierpnia, zapewne i td.) farsa oparta na tym motywie może liczyć na powodzenie przynajmniej tak długo, jak długo — odkłada się awanse.

Józef Mayer

Teatr Wielki.

S t u d e n t k a, w 10 obrazach według powieści Vicki Baum, przeróbka polska M. Kozłowskiej i Z. Modrzewskiej.

Od kilku lat teatr zwrócił się ku inscenizowaniu dzieł przerabianych z innych rodzajów literackich (powieści — reportaże), właściwych może raczej dla faktury kinowej. Do tego rodzaju prób należy też „Studentka“ Vicki Baum, której wystawienie poprzedził zarówno sukces teatralny innej powieści tejże autorki, „Ludzi w Hotelu“ w Rozmaitościach, jak też znaczny sukces kinowy obu tych powieści, jako — scenarjuszy filmowych.

Helena Willfluer, studjująca chemję u prof. Ambrosiusa, spotyka na swej drodze dwóch mężczyzn: związanego niedobranem małżeństwem profesora, w którym się nieświadomie kocha, i Rainera, studjującego medycynę z woli ojca wbrew własnemu zamiłowaniu do muzyki. Między dwojgiem młodych dochodzi do zbliżenia, którego skutki mogą przekreślić wszelkie ich zamierzenia. Z namowy Rainera, człowieka słabego, marzącego chorobliwie o śmierci, postanawiają popełnić samobójstwo. Lecz wola życia w Helenie, spotęgowana przez kiełkujące w niej nowe życie, jest silniejsza niż żądza śmierci jej kochanka. Rainer zabija się — Helena ucieka. Oczyszczona z zarzutu morderstwa, w najtrudniejszych warunkach zdobywa upragniony doktorat. Zrazu wiele dróg jest przed nią zamkniętych spowodu — dziecka. Dokonany wynalazek daje jej sławę i majątek. Na drodze swej spotyka znów prof. Ambrosiusa. Oboje są teraz wolni — i świadomi swych uczuć.

Przeróbka sceniczna „Studentki“ wykrojona z partyj djalogowych powieści wypadła naogół dość zręcznie choć ze słabą dynamiką dramatyczną. W stosunku do książki poczyniono kilka zmian. Wbrew powieści wprowadzono postać kolegi Heleny Marxa pod koniec sztuki jako sekretarza Zakładów eksploatujących jej wynalazek. Z żony Ambrosiusa zrobiono płytką spragnioną zabaw kobietę, niezadowoloną, że mąż nie ma czasu na dancingi. W tem założeniu nieudane samobójstwo profesora po jej zdradzie nie tłumaczy się dostatecznie. Jeśli z uznaniem można podnieść, iż autorki przeróbki zaoszczędziły nam widoku samobójstwa Heleny i Rainera, to szkoda, że nie oszczędzono nam również sceny śmierci księgarza Kranicha, jako całkowicie zbędnej. O bliskiej jego śmierci dowiadujemy się skąd inąd; jego ofiara, by przez ślub na łożu śmierci z Heleną ułatwić jej życie, nie dochodzi i tak do skutku, o szlachetności zaś jego przekonaliśmy się już dawniej. Szkoda, że nie wprowadzono raczej do scenarjusza Japończyka Dra Mitsuro, współtwórcy wynalazku Heleny. Postać uczonego Azjaty wśród Europejczyków — to ciekawy artystycznie kontrast, wyzyskany np. w „Mistrzu“ Bahra. Naogół można powiedzieć, że autorki skrótu obrazkowego powieści poszły raczej po linji zewnętrznych efektów, odrzucając jej psychologiczne pogłębienie.

W roli Heleny Willfuer ujrzeliśmy znowu po dłuższem niewidzeniu p. Irenę Eichlerówną, artystkę o kunszcie niezwykle efektownego pozowania się na scenie. Tej pełni życia, jaką tchnie sztuka Eichlerówny, nie zdołały umniejszyć nawet sceny odrobinę — przerysowane: burleska życia studenckiego lub scena „zwycięstwa“ kobiety nad przedstawicielami kapitalizmu, która jest — trochę naiwna. Naogół występ p. Eichlerówny na scenie lwowskiej godzien był lepszej oprawy. Po „Fräulein Doktor“ ,;Studentka“ — zgoda; ale po „Kleopatrze“ — to trochę mało. Czy nie raczej „Bazylissa Teofanu“ Micińskiego, której zapowiedź słyszymy od jesieni?

P. Matusiakówna z poświęceniem godnym lepszej sprawy (i przedstawienia) złożyła swój wdzięk na ołtarzu sztuki w charakterystycznej postaci adeptki archeologji Guduli Rapp. Samo imię mówi tu chyba za siebie. Szkoda tylko, że nadmiar ofiary przerodził się w — szarżę. P. Niczewska (Yvonne Pastouri) odgrywa od jakiegoś czasu na scenie lwowskiej role vampów, które niezbyt leżą w jej charakterze. Prof. Ambrosius p. Białoszczyńskiego okazał się rodzonym bratem prof. Odersa z „Krzyku“. W powieści Ambrosius to fizyczny olbrzym — i neurastenik zarazem. Zewnętrzna sylwetka i finezyjna gra p. Białoszczyńskiego odbiegły dość daleko od tego pierwowzoru, będąc mimo to same w sobie kreacją. P. Śliwińskiemu przypadła w udziale niewdzięczna rola Rainera: pozorna głębia psychiczna ukazuje raczej życiowego niedołęgę. Doskonałe momenty mieli pp. Machalski i Ratschka. Pierwszy jako lekarz, który zagrożony rakiem, nie skróci swych cierpień, by rodzina mogła otrzymać ubezpieczenie na wypadek śmierci — naturalnej; drugi w darzonej oklaskami przy otwartej scenie charakterystycznej roli pedela uniwersyteckiego.

Pod względem reżyserskim zawiodła scena, w której profesor, przyłapawszy żonę z kochankiem, pozującą w atelier murzyńskiego malarza, zabija ją — symbolicznie, strzelając do... portretu. Rola murzyna wyszła niejasno, portret był niewidoczny, strzały doń oddane wypadły tak niezręcznie, że nawet niektórzy recenzenci wyrazili przypuszczenie, iż profesor zastrzelił żonę lub kochanka. Ważny element konstrukcyjny powieści: pewnej równoczesności zdarzeń — został wyzyskany tylko w jednej odsłonie, w której dwa odcinki sceny wyobrażały równoległość czasową dwóch akcyj (atelier malarza — gabinet Dr. Groppiusowej). Naogół reżyserja nadała przedstawieniu charakter gry kameralnej, zbyt silnie może jak na sztukę operującą raczej efektami zewnętrznemi. Raziła też pewna monotonja „nastrojowych“ efektów świetlnych: niemal każda scena zaczynała się i kończyła stopniowem rozjaśnianiem lub przygasaniem świateł. Efekt ten należał się właściwie tylko jednej scenie (o ileby miała zostać zachowana): gdy męczennik życia Kranich odchodzi we wieczność.

Na premjerze część publiczności, zwabiona b. licznie występem p. Eichlerówny, przyjmowała trochę za hałaśliwie niewybredne momenty sztuki, zagłuszając niejednokrotnie inne, grane co prawda zbyt „pianissimo“.

Nakoniec ostatnia uwaga. W scenie końcowej na oświadczyny Ambrosiusa pada z ust Heleny jako ostatnie — słowo: „Eksperyment“. Słowo to charakteryzuje całą sztukę; eksperyment, który się udał tylko połowicznie.

Józef Mayer

Teatr Wielki.

S z k o ł a p o d a t n i k ó w, komedja w 3 aktach Beer'a i Verneuil'a.

Po nieudałym popisie rodzimego humoru lwowskiego („Opera w kratkę“ klapnęła szybciej niż arcydzieła z klasycznego repertuaru) powrócono do wypróbowanej metody zasilenia teatru komedją francuską.

„Szkoła podatników“ jest dobrą robotą sceniczną. Ma dowcip, i werwę, żywą akcję i w miarę naciągniętą fabułę. Przykrości podatników, uciskanych przez „fiskus“, oraz zręczne uchylenia się od płacenia stawek podatkowych — oto motyw kompozycyjny, na którym znana spółka autorska osnuła dość pospolitą historję niewierności małżeńskiej. Wątek zdrady miłosnej ma w teatrze francuskim tradycję tak wspaniałą i technikę tak mistrzowsko wyrobioną, że powtórzyć go jeszcze raz — z dobremi warjantami nie jest rzeczą trudną dla komedjopisarza, a zawsze miłą do wysłuchania dla bywalców teatralnych. Również afery podatkowe, zaprawione śmiechem, budzą sympatyczny oddźwięk widzów, tembardziej że w sztuce pobity zostaje rząd Republiki, a zwycięscy obywatele znajdują tysiące sposobów wymigania się od podatków.

„Bohater“ sztuki, nie mając pieniędzy na pokrycie długów rozrzutnej żony, zakłada „szkołę podatników“, w której uczy ludzi jak obchodzić prawo i legalnie uchylać się od obowiązków obywatelskich. Nie brak przytem komicznych sytuacyj, zwłaszcza, że pomysłowy nauczyciel jest zięciem naczelnika urzędu podatkowego, a minister skarbu przybywa do „szkoły“ i przyjmuje — niby przypadkiem — radę, jak ma się urządzić, żeby nie płacić podatków od swego majątku.

„Bohatera“ sztuki, Castona Valtier, grał wybornie p. Krasnowiecki. Jego lekkomyślną żoną była p. Życzkowska. Najwięcej humoru wniósł na scenę p. Strachocki, jako stary lowelas, Chapelaude. P. Strachocki przypominał najlepsze kreacje śp. Juljana Dobrzańskiego, który z nieodpartym komizmem grywał sentymentalnych ramolów. Zabawne efekty „Szkoły podatników“ uwydatniała też doskonale reszta zespołu: pp. Kossocka (ładnie ubrana), Kipeniówna, Kruszelnicka oraz pp. Brochwicz, Jaśkiewicz, Szpiganowicz, Kordowski, Michałowicz. Bardzo kulturalna reżyserja Bronisława Dąbrowskiego. *(ot.)*

Wędrówki mikrofonu w lecie

Sensację dla sportowców stanowić będą transmisje z biegu kolarskiego Warszawa—Berlin, które w roku ubiegłym dostarczały tyle emocji radjosłuchaczom, a które nadane będą między 25 sierpnia a 1 września. Dalej w dniach 19—26 sierpnia mikrofony sprawozdawcze złożą wizytę na kortach tenisowych warszawskich, aby asystować przy międzynarodowych mistrzostwach Polski, zaś między 24 a 25 sierpnia przy międzynarodowych zawodach piłkarskich. Prawdopodobnie 25 sierpnia nadany zostanie również fragment lekkoatletycznego meczu kobiecego Polska—Niemcy z Drezna.

W terminach jeszcze nieokreślonych zorganizowana zostanie transmisja z dożynków w ziemi miechowskiej, dalej reportaż z fabryki samolotów, nastrojowy reportaż, ilustrujący pracę piaskarzy na Wiśle i wreszcie trudna, a sensacyjna transmisja z pierwszej podróży statku „Piłsudski“ ze stoczni w Monfalcone do Gdyni. Będzie to raczej cykl barwnych i bezpośrednich wrażeń, nadawanych codziennie z pokładu tego pięknego statku motorowego. Reportaże retransmitowane będą za pośrednictwem pokładowej stacji krótkofalowej.

Niezależnie od wyszczególnionych już projektów, począwszy od maja, mniej więcej w odstępach tygodniowych, realizowany będzie cykl transmisyj pod ogólnym tytułem „Na fali bezpieczeństwa publicznego“. Będą te reportaże nadawne z terenów poszczególnych Komisarjatów Policji w Warszawie. Zilustrują one i przedstawią ciężką walkę, jaką prowadzą z występkiem organy bezpieczeństwa publicznego. Otworzą one radjosłuchaczom oczy na niejeden trick świata przestępczego i zdemaskują misternie zastawiane sidła na naiwnych.

Ponadto w miesiącach letnich projektowane są co tydzień transmisje z obozów wypoczynkowych, rozsianych w różnych okolicach kraju. W transmisjach tych będzie występować zawsze sama młodzież.

Zaznaczyć należy, że poza zgóry przygotowanemi transmisjami, będzie nadana duża ilość reportaży aktualnych, których dziś nawet w przybliżeniu nie można ustalić. Gros tych transmisyj — to reportaże sportowe, których będzie najwięcej. W tej dziedzinie projektowana jest również transmisja sportowa na wesoło. Będzie to reportaż sportowy, przeprowadzony przez przygodnego reportera. Kogo? Usłyszymy.

Słowo mówione w miesiącach letnich dozna dużego uszczerbku na korzyść audycyj muzycznych. I tak z ważniejszych posunięć w tym dziale, zdążających do zmniejszenia audycyj słownych wymienić należy skasowanie odczytów w językach obcych, lekcyj języków obcych i odczytów poświęconych ciężkim, poważnym tematom, które w okresie letnim znajdują mało słuchaczów.

T e m a t y r e p o r t a ż y i f e l j e t o n ó w.

Jeżeli chodzi o tematy reportaży i feljetonów, to już dzisiaj ustalono szereg cyklów, które poruszą różne dziedziny życia współczesnego. A więc radjosłuchacze wraz ze sprawozdawcami radjowymi odbędą wędrówkę wzdłuż granic Polski, zwiedzą współczesną Litwę Kowieńską,

(Ciąg dalszy na stronie 4-tej).

Wędrówki mikrofonu w lecie

(Ciąg dalszy ze strony 3-ciej).

popłyną statkiem z biegiem Wisły, zaznajamiając się z terenami katastrofalnej zeszłorocznej powodzi i pięknemi miejscami wycieczkowemi położonemi na brzegach królowej rzek polskich. Bardzo ciekawym pomysłem będzie szereg reportaży ukazujących różne okolice naszego kraju oglądane z samolotów. Współpraca radja z lotnictwem, to chyba najnowocześniejszy typ reportażu, jaki sobie wyobrazić można. Typ reportażu krajoznawczego dominuje w projektach Wydziału Odczytowego, bo pozatem jak nas informują, odbędziemy radjową wędrówkę po podmiejskich letniskach przyglądajac się radosnym i ciemnym stronom życia letniskowego. Dalej projektowany jest cykl reportaży, poświęconych polskim miasteczkom, muzeom i wreszcie odpowiednik Polski widzianej z samolotu — migawki z podróży autobusem. Ten ostatni, coraz to bardziej rozpowszechniający się środek komunikacji pozwoli sprawozdawcom radjowym na dokonanie wielu ciekawych spostrzeżeń.

Dział reportaży słownych położy specjalny nacisk w okresie letnim na zaznajomienie słuchaczy miejskich z życiem współczesnej wsi polskiej oraz odwrotnie słuchaczy wiejskich z warunkami miejskiego bytu. Taki wymienny niejako obraz stosunków znajdzie odźwierciadlenie w szeregu reportaży pod ogólnym tytułem: „Jak wieś żyje i miasto“. W tym dziale Wydział Odczytowy nawiąże ścisłą współpracę z Działem pogadanek rolniczych, które zaznajomią radjosłuchaczy wiejskich z przejawami współczesnego życia miejskiego.

Taki tytuł nosić będzie cykl audycyj o charakterze reportażowym. Audycje te nadawane poprzednio pod tytułem „Jak żyjemy i pracujemy w Polsce“ zyskały sobie duże uznanie wśród radjosłuchaczy tak formą ujęcia tematu, jak i konieczności migawkowego i błyskotliwego ujmowania zagadnień ze względu na krótki czas trwania audycji. Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski będą malowały w formie krótkiej i żywej blaski i cienie życia, przedstawiając z jednej strony rzeczy i zjawiska godne naśladowania, z drugiej zaś strony, usterki wymagające jaknajszybszej naprawy.

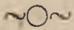
Dla urozmaicenia tego działu wprowadzono audycje, poświęcone obrazom z różnego charakteru, temperamentu i trybu życia danej Polski, by w ten sposób przedstawić kontrastowość pewnych dziedzin życia, a z drugiej strony, ukazać tradycyjną odrębność naszych obyczajów i zapoznawać z folklorem naszego ludu.

Szereg reportaży krajoznawczych uzupełni cykl feljetonów pod ogólnym tytułem „Podróżujemy“. Będą to często audycje mieszane, ilustrowane odpowiednią muzyką. Celem tych audycyj jest propaganda krajoznawstwa, turystyki i zwiedzania pięknych, godnych poznania zakątków naszego kraju. W tym dziale znajdzie się również miejsce dla opisu podróży egzotycznych, zwłaszcza takich, w których zaznacza się polska inicjatywa i przedsiębiorczość turystyczno-badawcza.

Wydział Odczytowy w dziale pogadanek dla kobiet nada w sezonie letnim cykl audycyj związanych tematycznie z porą roku. A więc projektowane są m. in. pogadanki poświęcone takim tematom, jak wakacje w mieście, obozy, kolonje i wycieczki, higiena w lecie itd.

Duży nacisk położony będzie na odpowiednie ujęcie przed mikrofonem aktualności politycznych, społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Na ten cel przeznaczono trzy audycje w tygodniu.

Propaganda książek i wydawnictw, którą w swoim zakresie przeprowadzi również i Wydział Literacki, znajdzie w Dziale Odczytowym wyraz w sprawozdaniach i ocenach, a często w autorecenzjach i rozmowach z autorami. Dwie audycje tygodniowo zostaną poświęcone na planowe cykle popularnych pogadanek, z których dowiemy się o najciekawszych wynalazkach ze wszystkich dziedzin wiedzy.



GŁOSY

Bałtyk - Morze Czarne

W „Czuwamy“ (nr. 29) ukazał się interesujący artykuł p. St. J. Nowaka pt. Bałtyk — Morze Czarne, który poniżej przytaczamy:

„Dzięki szczególnemu położeniu geograficznemu Polska jest pomostem pomiędzy z jednej strony lądową płaszczyzną Europy Wshodniej, a półwyspowym krajobrazem Europy Zachodniej, oraz pomiędzy kompleksem wodnym Europy Północnej (Bałtyk — Morze Północne), a kompleksem wodnym Europy Południowej (Morze Czarne, Morze Śródziemne). Rola Polski jako łącznika i pośrednika między Wschodem i Zachodem, pośrednika kontynentalnego via Berlin, Zbąszyń, Warszawa, Niegorełoje, Moskwa, jest dostatecznie znana. Natomiast linja przeprowadzona pomiędzy Bałtykiem a Morzem Czarnem przez Polskę i Rumunję, stanowiąca najkrótsze połączenie tych dwóch kompleksów wodnych mimo sprzyjających warunków, ciągle jeszcze pozostaje w mgle zapomnienia. Cały ciężar wysiłków morskiej polityki państwowej oraz polskich sfer gospodarczych przerzucony został jedynie na drobny wycinek tej linji, budowę portu Gdyni. Stwierdzając z satysfakcją rzadko spotykany entuzjazm, z jakim odnosi się całe polskie społeczeństwo wobec prac nad rozwojem własnego baze-portu, nie możemy jednak nie zwrócić uwagi na szkodliwość, jaką grozi jednostronność naszej polityki gospodarczej w sprawie „morskiej“.

Wiadomo ogólnie, że Polska jest państwem „morskiem“, posiadającem najkrótszy skrawek wybrzeża: na 5543 km granic przypada zaledwie 140 km granicy morskiej. Otóż na ten wąski pasek nadmorski przypadało w roku 1930 — 70 proc. obrotu handlu zagranicznego pod względem wagowym i 55 proc. pod względem wartości. Na jeden km granicy morskiej przypadało zatem 74.550 tonn wartości 6736 tysięcy zł. podczas, gdy na km granicy lądowej zaledwie 873 tonn wartości 157 tysięcy zł. (Patrz nr. 2 — „Szkwał“). Nie trudno chyba stwierdzić, że dalsza jednostronna akcja przerzucania i skupiania całego niemal obrotu handlu zagranicznego wyłącznie na odcinku 140 km granicy morskiej, stworzy niebezpieczeństwo niezwykle groźne: wystarczy w jakikolwiek sposób zatamować te 140 km granicy, by podważyć równowagę całego organizmu gospodarczego Polski.

Budowa portu gdyńskiego, stworzenie własnego przemysłu portowego oraz piękne zyski, jakie daje nam stale wzrastający przeładunek towarów, należy do zdobyczy, których nie powstydziłby się żaden naród morski czy wyspiarski. Czyniąc też powyższe zastrzeżenia nie zamierzamy w niczem umniejszać roli Gdyni jako portu. Jest bowiem rzeczą całkiem jasną, że jakiekolwiek przesunięcia obrotów handlu zagranicznego w celu złagodzenia nienormalnej dysproporcji istniejącej na odcinkach granic morskiej, lądowej, nie mogą w żadnym wypadku spowodować zmniejszenia ilościowego i jakościowego przeładunku towarowego naszych portów w Gdyni i Gdańsku. Wymaga tego zarówno dobro samego państwa jak i organizacyj gospodarczych, dla których Gdynia stanowi poważną pozycję aktywów. Jedyną więc drogą naprawy, wynikającą zresztą z położenia geograficznego Polski jako łącznika międzybasenowego (Bałtyk — Morze Czarne) nie grożący żadnemi wstrząsami, może być tylko rozbudowa wielkiej linji, łączącej Gdynię poprzez nasze wschodnie granice lądowe z Constancą. Linja ta poza szeregiem różnych poważnych korzyści da państwu przedewszystkiem dwie niewątpliwej wagi: wzmoże obrót handlu zagranicznego na odcinku lądowym wschodnim bezpośrednio, a morskim pośrednio oraz łączy Polski Wschód z ośrodkiem najsilniejszego i najintensywniejszego życia gospodarczego.

Rozbudowa linji Bałtyk — Morze Czarne, po wytworzeniu jednolitego bloku gospodarczego Polsko-Rumuńskiego, wymagałaby oczywiście pewnych ulepszeń ekonomicznych, organizacyjno-handlowych oraz technicznych. W zakresie inwestycyj technicznych należałoby uwzględnić następujące desyderaty:

Budowa dwutorowej tranzytowej linji kolejowej z Gdyni przez Bydgoszcz, Koło, Koluszki, Sandomierz, Przemyśl do Stanisławowa, budowa kanału San-Dniestr i regulacja tych rzek, rozbudowa przemysłu przetwórczego i portów polskich i rumuńskich z uwzględnieniem podziału pracy tych portów, współpraca polskich linij żeglugowych z linjami rumuńskiemi.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że wspomniane wyżej inwestycje pochłonęłyby znaczniejszy nakład kapitału. Trudno też sobie wyobrazić, aby jakiekolwiek przedsiębiorstwo prywatne znalazło odpowiednie fundusze na przeprowadzenie związanych z tym planem robót. Wykluczając kapitał obcy, uważamy więc, że jedynie państwo, względnie specjalna organizacja społeczno-państwowa, może się podjąć pracy zarówno nad rozbudową nowej linji jak przedewszystkiem nad stwarzaniem warunków korzystnych dla przeprowadzenia tej rozbudowy. Ponieważ niemal wszystkie elementy wspomnianej inwestycji znajdują się już w rękach państwa (koleje, żegluga) dalsza etatyzacja, konieczna ze względów gospodarczych, nie nastręczałaby trudności.

Inwestycje oraz ulepszenia techniczne nie stanowią jedynego i najważniejszego punktu planu. Równorzędną względnie nawet przesądzającą opłacalność przedsiębranych prac, pozycją, jest sprawa uzgodnienia i racjonalnej organizacji samego planu przez odpowiednie czynniki państwowe polskie i rumuńskie. Uważając że budowa linji Bałtyk — Morze Czarne, odda wielkie korzyści obydwu sprzymierzonym ze sobą państwom, porozumienie celem uzgodnienia racjonalnej polityki gospodarczej i planowych nie obciążających budżetów państwowych inwestycyj, nie powinna natrafić na poważniejsze przeszkody. Do sprawy tej możemy odnosić się tem bardziej optymistycznie, gdyż zainteresowane planem sfery rządowe Polski i Rumunji, złączone są serdecznemi węzłami wzajemnej usługi i współpracy.

Wspominając nieco wyżej o korzyściach, które Polska osięgnąć może w razie pomyślnej organizacji bloku gospodarczego polsko-rumuńskiego, oraz przeprowadzenia inwestycyj technicznych, zwróciliśmy uwagę przedewszystkiem na dwie:

wzrost obrotu handlu zagranicznego oraz częściowe równanie dysproporcji między bilansem morskim i lądowym;

ścisłe połączenie województw południowo-wschodnich z głośnym ośrodkiem gospodarstwa krajowego.

O ile wzrost obrotu handlu zagranicznego może przynieść korzyści wszystkim obywatelom państwa, o tyle zbliżenie komunikacyjne naszego wschodu z Warszawą i Gdynią, podniesie gospodarczo przedewszystkiem spauperyzowane kresy. A wiadomo przecież, że wszystkie nasze województwa wschodnie, goniące resztkiem sił takiej życzliwej pomocy ze strony państwa jak najbardziej potrzebują“.

Od Wydawnictwa

Następny numer „Akcji Narodowej“ — ze względu na ferje wakacyjne — ukaże się w dniu 20 sierpnia br.

Nasza odpowiedź

Z powodu listu otwartego do wszystkich odłamów młodzieży narodowej umieszczonego w „Buncie Młodych“ którego autorem jest p. Bocheński, ogłosił red. Zbigniew Sadkowski odpowiedzi w „Czuwamy“ (nr. 28), który dosłownie poniżej przytaczamy:

Nie wiem czy moi dawni koledzy i przyjaciele, znajdujący się obecnie w innych organizacjach narodowych, też odpowiedzą p. Bocheńskiemu. Od jakiegoś bowiem czasu coraz mniej udzielają odpowiedzi na postawione im konkretne zarzuty i pytania. Milczenie ich jest właściwie przyznaniem się do winy wobec idei, której służą i — mam wrażenie — chcą nadal służyć. Bocheński skierował swój list do wszystkich odłamów młodzieży narodowej, a więc i do tych, którzy uporczywie w zasadniczych sprawach zrzekli się głosu, i do tych, którzy bez względu na to co ich dawniejsi koledzy powiedzą, nie wahają się jasno i konsekwentnie wypowiadać w najbardziej drastycznych sprawach.

Bocheński, rzucił nam — jak pisze — rękawicę. Nie widzimy powodu dla którego nie moglibyśmy jej podnieść, tembardziej, że są pewne niedociągnięcia, wypływające z tego, że autor listu stał zdala od naszego ruchu; w liście p. Bocheńskiego przebijają momenty świadczące o tem, że stara się nas rozumieć. Jako obserwator z zewnątrz, poruszył p. Bocheński wiele spraw, nad któremi my już niedyskutujemy, uważając to poprostu za wywalanie drzwi już otwartych.

A więc przedewszystkiem sprawa Piłsudski - Dmowski.

Nie wiem dlaczego p. Bocheński waha się „czy nie jest nieprzyzwoitością zestawiać te dwa nazwiska, z których jedno już należy do historji, a drugie jeszcze do naszego współczesnego bieżącego życia“. Mam wrażenie, że wahanie się jest w danym wypadku zbędne. Jeśli bowiem nie nadużyje się tych nazwisk do przykrywania niemi każdej ideologji, każdego posunięcia, a założy się o czem pisze autor listu, że „celem polityki wspólnym Piłsudskiemu i Dmowskiemu jest podniesienie Rzeczypospolitej w hierarchji narodów“, to na tej płaszczyźnie zestawić te dwa nazwiska można zawsze, nawet i dziś, gdy jeden z tych ludzi nie żyje. Natomiast zestawianie tych nazwisk, jako firm poza któremi krył się każdy, kto chciał i robił co chciał, jak wiele razy mogliśmy się przekonać — byłoby niesmacznym nietaktem, tembardziej, że wchodzi tu jeszcze moment życia i śmierci.

Piszę to dlatego, że p. Bocheński, widać nie zorjentował się jeszcze w tem, iż mimo objawów zewnętrznych, w młodym obozie nacjonalistycznym, zupełnie inne panowały zapatrywania na kwestję Piłsudski - Dmowski, aniżeli w Narodowej Demokracji. Inaczej, siłą rzeczy musieli być nastawieni ludzie młodzi, a inaczej ci, którzy prowadzili przez lat trzydzieści bezpośrednio walkę polityczną i osobistą. To, że Związek Młodych Narodowców pisze bez cienia żenady o zasługach Marszałka, nie wypływa z chęci przypodobania się żyjącym, czy też poczucia przyzwoitości wobec osoby Zmarłego, lecz jest konsekwencją tego iż Marszałek rządził Polską od 1926 r., okazując czynem chęć stworzenia z Rzeczypospolitej, naprawdę wielkiego państwa. W tym czasie krystalizowały się nasze poglądy i, chyba jest rzeczą naturalną, iż wśród nich znalazło się miejsce na ocenianie zasług Zmarłego. Zasługi te zresztą ocenili napewno i inni narodowcy tylko...., tylko nie stać ich już dziś, po trzydziestu latach walki, na stwierdzanie publiczne pewnych faktów. Co do młodych — inna sprawa. — Dopóki kierują nimi działacze dawnej Narodowej Demokracji, będą milczeć, gdy tylko „zbuntują się“ wyjawią swe stanowisko, tak jak to uczynili ci z Z. M. N. a nawet i ci z O. N. R, jak p. Piasecki w „Prosto z mostu“. Z drugiej znów strony, oddając co boskiego Bogu, a co cesarskie cesarzowi — nie pogodzimy się też nigdy z poglądem p. Bocheńskiego, sugerującym, jakoby Dmowski propagował pacyfizm. Płytkość dowodzenia, jest w tym wypadku zadziwiająca. Zadziwiającym jeszcze bardziej jest skonkretyzowane na podstawie tego twierdzenia oskarżenie nacjonalizmu polskiego o to, że popełnia zbrodnie w postaci negatywnego ustosunkowania się do militaryzmu. „Dmowski nie wahał się pisać parę lat temu serji artykułów przeciw zamiarom wojennym Polski. Nie przypuszczamy, aby dokonał jakiejkolwiek zmiany w kierunku naszej polityki, ale wywarł z pewnością niszczący wpływ na nasze moralne pogotowie bojowe“. Pisząc to, p. Bocheński stwarza jedyne pozory, świadczące o tem, że tych artykułów chyba nie czytał. Zresztą sam na początku swego artykułu przytacza przykład, którym obala swe końcowe wnioski. Czyni to omawiając kwestję rozwoju terytorjalnego i stwierdzając zarazem, że celem nie może być wzrost terytorjalny, jeżeli równoznacznie z tym wzrostem przyjdzie znaczniejsze zwiększenie potęgi przeciwnika. Cavour nie wahał się zrzec praw niewątpliwych Włoch do Nicei, byleby doprowadzić do zjednoczenia państewek włoskich. Kto wie, gdzieby dziś była potęga Italji, gdyby zwyciężyło wówczas hasło: „Niema Włoch bez Nicei“ albo coś podobnego. Otóż dziwnem jest, że p. Bocheńskiemu ofiara Cavoura wydaje się rzeczą oczywistą i słuszną, natomiast wystąpienie Dwowskiego przeciw zamiarom żydowsko-masońskiej kliki międzynarodowych kapitalistów, jest hańbą spadającą na polski nacjonalizm. Pan Bocheński widzi w Rosji aż tak wielkiego wroga, że potępienie intryg międzynarodówki kapitalistycznej, usiłującej przy pomocy krwi polskiego żołnierza i kosztem Polski, rozszerzyć swe rynki zbytu, jest dla niego propagandą pacyfizmu, zbrodnią i sojuszem z agitacją żydowsko liberalną i t. p. W związku z tem oskarżeniem, które pozbawione jest cienia podstaw nawet wobec „starych endeków“, muszę zaczepić twierdzenie, zawarte również w „Liście do narodowców“, jakoby potęga Polski była funkcją potęgi Rosji i Niemiec. Autor stwierdza, jak przypuszczam, że im mniejszą jest potęga naszych sąsiadów, tem większą jest potęga nasza. Z tem zgodzić się jako nacjonaliści nie możemy. Wielkość i potęga naszego państwa może być tylko funkcją naszej pracy i wysiłku. Nasz rozwój i stanowisko wśród innych narodów nie jest uwarunkowane wzrostem czy upadkiem obcych potencyj. To czy Niemcy są silne czy też słabe, może mieć pewien wpływ na naszą ekspansję zewnętrzną, ale nie jest bezwzględnym warunkiem naszej siły czy słabości. Formułka matematyczna, jaką upraszcza sytuację p. Bocheński, w tym wypadku, ma wiele cech wspólnych formułce p. Studnickiego, który znów we wzroście siły niemieckiej, dopatruje się wzrostu sił naszych. W jednym wypadku chodzi tylko o stosunek odwrotnie proporcjonalny, w drugim o wprost proporcjonalny. Raz chodzi o Rosję innym razem o Niemcy. Tym czasem z nacjonalistycznego punktu widzenia na zagadnienie to patrząc, nie można w żadnym wypadku swej potęgi uzależnić od rozwoju sił względnie upadku obcych narodów, i to zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Kalkulacje polityczne oparte nie na obliczaniu sił własnych i pracy nad ich rozwojem, lecz na siłach obcych, przekreśliliśmy wreszcie szczęśliwie. Dlatego też, kroplą, która dopełniła czarę sympatji, jaką młodzi ludzie naszych lat dla dyktatury mają, był nie pakt nieagresji z Rosją jak sądzi p. Bocheński. Gdyby tak bowiem było, logicznie biorąc, pakt nieagresji z Niemcami, dopełniłby znów z powrotem nasz kielich goryczy.

Tą kroplą sympatji było właśnie okazanie całemu światu, że Polska jeśli się z kimś liczy, to tylko z własnym interesem, że Polska prowadzi politykę międzynarodową, niezależnie od interesów obcych, a jedynie z myślą o rozwoju swej potęgi. W posunięciach p. min. Becka nie dostrzegamy nic takiego, coby wskazywało, że potęga Polski jest funkcją potęgi Niemiec, Rosji czy Francji. Tem się różnimy od pp. Strońskiego, Koskowskiego, Studnickiego i, jak się okazuje, także autora „Listu do narodowców...“.

Przechodzę teraz do innej sprawy. P. Bocheński stwierdza, że „sprowadzenie całej polityki wewnętrznej do antysemityzmu jest rzeczą przysłaniającą nacjonalizm“ bo niebezpieczeństwo semickie posiada znaczenie trzeciorzędne. Tu znów wyłaniają się dwa zastrzeżenia. Po pierwsze: czy twierdzenie, że cała polityka wewnętrzna narodowców ogranicza się do walki z żydami, nie jest uogólnieniem nieopartem na żadnych dowodach? — a po drugie — czy rzeczywiście niebezpieczeństwo żydowskie należy do kwestyj trzeciorzędnych? Na te pytania, sądzę, powinien p. Bocheński odpowiedzieć. Trzeba bowiem uzasadnić trochę obszerniej te dwa zarzutv. Dla nas, kwestja żydowska jest kwestją o znaczeniu pierwszorzędnej wagi, co jednak nie przeszkadza bynajmniej temu, że wiele czasu i pracy poświęcamy zagadnieniom ustrojowym, kwestji wychowania młodzieży, sprawom socjalnym, sprawom rozwoju kultury polskiej i. t. p. Radziłbym tu p. Bocheńskiemu, aby zapoznał się z obszerną literaturą Z. M. N.

Co do kwestji ukraińskiej — możemy się również nie zgadzać — ale skąd znowu lekceważenie? Czy wyczuł je autor w rozprawach prof. St. Grabskiego, dr. Klaudjusza Hrabyka i in. Tak samo upada, rozpatrując kolejno, jeden z końcowych zarzutów o założeniu, że misją dziejową Polski jest walka graniczna z Niemcami. Dlaczego? O tem można wnioskować z tego, co powyżej było napisane na marginesie stosunku Polski do innych państw.

Ostatni wreszcie zarzut: Zamiłowanie do swojszczyzny, zaniedbanie kontaktu z Europą. Może autor zechce również opisać dokładnie objawy tego niebezpieczeństwa. Ja osobiście sądzę, że w nacjonaliźmie polskim jeszcze za mało panuje zamiłowanie do swojszczyzny, a zadużo jest w niem kontaktu z Europą, wyrażającego się nawet w przejmowaniu form zewnętrznych skądinąd. Zresztą być może, że nawet kopjowanie pewnych rzeczy z Włoch czy Niemiec, nie jest niczem złem, o ile tylko spowoduje w Narodzie Polskim dodatnie, z nacjonalistycznego punktu widzenia, przemiany.

Tak więc list p. Bocheńskiego, nie spowoduje przemian, o których autor wspomina — bo przemiany te nastąpiły i będą nadal następowały, gdyż życie polityczne opiera się na pewnej logice, a nie jest tylko wyrazem chwilowych nastrojów, czy zmiennych konjunktur. Z wystąpienia natomiast p. Bocheńskiego, jednego z przywódców grupy „Myśli Mocarstwowej“, wynika, że w gronie, przez niego reprezentowanym, doszło również do wielkich przemian, co z przyjemnością stwierdzamy. Jak z listu widać, liberalizm oraz marzenia o asymilacji żydów, zostały już pogrzebane.

Jeżeli więc wystąpienie p. Bocheńskiego nie jest tylko jego osobistem wystąpieniem i spotyka się z pewną dozą uznania nietylko w obozie narodowym lecz i wśród grona „Buntu Młodych“, bilans naszej polemiki należy chyba uznać za dodatni. ZBIGNIEW SADKOWSKI.

Wydawca: Związek Młodych Narodowców. — Odpowiedzialny redaktor: Jadwiga Porębianka. — Drukarnia Naukowa Lwów, Ormiańska 8. Tel. 253-10.